

Leszek Lachowiecki: Witam serdecznie wszystkich zebranych. Nasze spotkanie ma nietypową formę – brak mu audytorium, uczestników panelu jest dzięki temu więcej, niż zazwyczaj, co daje nadzieję na szerokie omówienie problemu. Pytaniem, na którym skoncentrujemy uwagę jest – chciałoby się powiedzieć – żelazna kwestia: kogo i jak reprezentuje polska Lewica. Równie interesującym, jeśli nie bardziej, wydaje mi się problem, kogo powinna reprezentować. Ale przy opisie faktów warto zachować rzeczowość – dlatego wyjdźmy od stanu istniejącego, który w znacznym stopniu odzwierciedla stan, w jakim znajduje się polskie społeczeństwo. Rozbudzono w nim ogromne, konsumpcyjne oczekiwania, zaszczepiono miraż jednostkowego sukcesu, utrwalono przekonanie o bezalternatywności obecnego systemu. O szczegóły socjologiczno-ekonomicznego opisu Polaków zwracam się do Maćka Gduli. Opublikował on niedawno tekst, w którym śmiało wyakcentował istnienie klas społecznych, powracając do pewnego modelu, który – zdawało się – przepadł wraz z neoliberalną bajką o solidarnym społeczeństwie, ponoszącym wyrzeczenia na rzecz bogacenia się bogatych.

Maciej Gdula: Ja się starałem w tym artykule przyjąć dosyć tradycyjną optykę, to znaczy spojrzeć na klasy przede wszystkim przez pryzmat pracy, rodzaju kwalifikacji, które pracownicy sprzedają. Kluczowym nie był podział w stosunku do środków produkcji. To był taki zmodyfikowany schemat Wright'a - przyjmujemy, że w społeczeństwach coraz więcej jest pracowników

sprzedających swoje kwalifikacje i oni są coraz bardziej zróżnicowani. Podstawowym pomysłem, który organizował moją opowieść o przemianach systemu klasowego przez ostatnich 20 lat było to, że istnieje coś takiego jak społeczeństwo postfordowskie czy postindustrialne tzn., że jest duża grupa pracowników o wysokich kwalifikacjach zarabiająca nieźle, znaczna grupa robotników wykwalifikowanych i zmniejszająca się grupa niewykwalifikowanych, zmniejszająca się grupa bezpośrednich nadzorców pracy, czyli tych, którzy wyciskają z robotników wartość dodaną. Generalnie kapitalizm się cywilizuje i nie jest taki zły. Postarałem się to sprawdzić empirycznie. I z tego, co pokazywałem w tym artykule wynika, że rzeczywiście w Polsce mamy do czynienia z jednej strony ze wzrostem ilości specjalistów, ekspertów - wykwalifikowanych pracowników sprzedających swoje usługi. Udział ich w strukturze pracujących wzrasta. Mamy do czynienia ze spadkiem ilości robotników wykwalifikowanych i niewielkim wzrostem robotników niewykwalifikowanych, czyli obserwujemy sprzeczne tendencje - z jednej strony rosną nam specjaliści, pracownicy społeczeństwa wiedzy, a z drugiej strony, na skutek industrializacji, na skutek pewnych procesów o których nie powiem jeszcze teraz, rośnie liczba niewykwalifikowanych pracowników. Ja się zacząłem zastanawiać, skąd się biorą ci pracownicy wykwalifikowani, co jest głównym sprawcą udziału pracowników wykwalifikowanych w strukturze społecznej. Naturalnie nasuwa się wniosek, pozostający w medialnych ramach głównego nurtu, że to skutek urynkowania,

powstania nowych firm, nowych specjalności; to tam nabrzmięwa liczba pracowników sprzedających swoje wysokie kompetencje. Sprawdziłem - i tak nie jest. Duża część przyrostu tych pracowników wykwalifikowanych jest wygenerowana przez administrację publiczną i sektor publiczny, tzn. to są z jednej strony urzędnicy administracji rządowej, samorządowej, ale także nauczyciele. Ten wzrost udziału pracowników wykwalifikowanych w strukturze społecznej wynika trochę z tego, że w ogóle spadło zatrudnienie, tzn. w oświacie pracuje mniej więcej tyle samo ludzi, ale ze względu na to, że spadła liczba zatrudnionych w gospodarce - ich udział wzrósł. A jeśli chodzi o urzędników w administracji itd. to tam był realny duży wzrost. To grupa, która wystrzeliła; mówi się często, że PRL był zbiurokratyzowany, ale jeżeli chodzi o ilość ludzi pracujących w biurokracji wówczas było dużo mniej. Natomiast jaka praca jest oferowana na rynku? To jest trochę odpowiedź na pytanie, dlaczego odnotowujemy wzrost robotników niewykwalifikowanych. Sprawdźmy, jak wyglądają płace w sektorze usług w dwóch działach: handel i obsługa nieruchomości. To są gusowskie podziały, które mniej więcej mówią o usługach, bo to są małe firmy świadczące usługi innym firmom i po prostu handel. O ile wykres płac w administracji publicznej i oświacie miał kształt piramidy, tzn. dużo średnich zarobków, natomiast jeśli chodzi o usługi i handel to było dużo ludzi zarabiających mało. Co nie oznacza tylko, że są bardzo niskie płace tylko, że zmieniły się formy zatrudnienia, tzn. że jest dużo ludzi, którzy pracują na pół, na ćwierć etatu, bo tylko tyle jest dla nich pracy. To

pokazuje, że do podziałów klasowych tak tradycyjnych jak podział władzy nad środkami produkcji, jak rodzaj kwalifikacji dochodzi jeszcze elastyczność zatrudnienia, tzn. że to jest ważny wymiar. I trzecia kwestia, która dotyczy struktury społecznej po 1989 r. i jest związana ze wzrostem nierówności, co widać we wszystkich wskaźnikach, przynajmniej do 2005 to jest wyraźne i to ładnie pokazuje prof. Maciek Słomczyński w swoich analizach - takie rozwierające się nożyce między z jednej strony ekspertami, kierownikami i właścicielami firm, a z drugiej strony rolnikami, robotnikami niewykwalifikowanymi i wykwalifikowanymi. Jednocześnie tej nierówności nie towarzyszy polaryzacja struktury społecznej, brak tego procesu, o którym mówił Marks tzn., że będą powstawać dwie klasy ludzi, natomiast namnażane jest to, co w środku, sporo specjalistów, pracowników usług. Tutaj ta struktura jest coraz bardziej posegmentowana. To są trzy najważniejsze sprawy, tzn. ważny jest sektor publiczny jako instancja, która oferuje miejsca pracy, druga kwestia - że nie nastąpiła polaryzacja, i trzecia kwestia, że elastyczność i ryzyko związane z miejscem pracy jest ważnym wymiarem różnicującym miejsca pracy.

Co więc znaczy to znaczy reprezentacja? Czy reprezentacja oznacza reprezentowanie tego, co istnieje czy oznacza też trochę tworzenie tego, co się reprezentuje, o wzajemne relacje? Jeśli chodzi o relacje to mnie się wydaje, że jest pewne niedowartościowanie ludzi, którzy pracują w sektorze publicznym, ale jednocześnie nie mają poczucia, że wykonują istotną pracę i że to nie jest

praca, która jest jest pełnowartościowa, która służy dobru publicznemu i dostarcza jakiś wynik wspólnotowy. Mam wrażenie, że to nie jest reprezentowane w sferze publicznej, że tego nie ma w dyskusjach, tzn. nie mówi się o tych ludziach jako o ludziach, którzy powinni być reprezentowani, mówi się częściej raczej o rozrośniętej biurokracji, często o niedopłaconych nauczycielach, ale nie mówi się o ludziach, którzy pracujących w sektorze publicznym jako o ważnej grupie, która nie ma tylko interesów ekonomicznych, ale też coś więcej: pełni jaką funkcję, jakąś rolę społeczną, jaką misję. To nie musi oznaczać, że oni są niedopłacony, tylko że powinno się z tym wiązać jakąś godność. Druga sprawa: są ludzie najbardziej wrażliwi, tzn. ci, którzy wykonują prace elastyczne i niedopłacone. To, że pracują nie chroni ich przed biedą. Mam wrażenie, że to jest rodzaj takiego zobowiązania, które lewica musi na siebie wziąć. To nie jest kwestia interesu, że to jest dobry target. Aby reprezentować trzeba mieć jaką wizję porządku, który chce się tworzyć, w tym sensie znalezienie miejsca dla tych ludzi powinno być stawką, czyli zapewnienie im bardziej godnego miejsca, mniej narażonego na ryzyko, na biedę. To są dwie rzeczy, które wydają mi się szczególnie ważne.

Jakub Kus: Wybaczcie państwo pewne niezręczności i błędy, bo od teorii odszedłem 15 czy 20 lat temu i mam z tym pewne problemy. Odnoszę się do praktyki, bo praktyką się głównie zajmuję. To jest problem, tak mi się przynajmniej wydaje, z jednej strony definicji lewicy - ciągle otwarty, z drugiej strony identyfikacji. Jedno z drugim się łączy, bo bardzo trudno jest

identyfikować się z czymś, co nie jest zdefiniowane, a jednak jest to możliwe, jak się okazuje, bo jednak jakaś lewica jednak istnieje. Czyli identyfikuje się z pewną definicją, być może z różnymi definicjami, które nie do końca się spotykają ze sobą. Cały czas mówimy o lewicy instytucjonalnej, czy też politycznej, jak byśmy mogli powiedzieć, nie wspominając o lewicy obyczajowej, lewicy intelektualnej, której jakieś resztki krążą po orbicie. Możemy mówić o lewicy w kategoriach elektoratu istniejącego, zgodnie z badaniami lub potencjalnego; możemy mówić o lewicy jako pewnym projekcie potencjalnym - tego również dotyczy pytanie. Ja się nie będę spierać, bo ja się zgadzam z tym co pan Gdula powiedział, natomiast tam są pewne obszary jeszcze, o których pewnie byłoby warto porozmawiać, ponieważ na kształt tej stratyfikacji jakbyśmy jej nie ujęli wpływają na pewno takie czynniki, jak cała sfera wykluczenia społecznego, którą trzeba jakoś w tym ująć, sfera pracy jeżeli patrzymy na całość społeczeństwa jako na pracujących czyli aktywnych zawodowo bądź też nieaktywnych zawodowo w pracy niedeklarowanej, którą gdzieś trzeba umieścić i z tego punktu widzenia nie do końca bym się zgodził z podziałem na ogromne ilości niewykwalifikowanych. Kwestia kwalifikacji jest również kwestią definicji, posiadania certyfikacji bądź też nieposiadania. Kwalifikacje osób, które mają tzw. ... of learning i doświadczenie nabyte w procesie pracy mogą być bardzo wysokie. Takich ludzi na rynku pracy jest bardzo dużo z faktycznymi wysokimi kwalifikacjami niepotwierdzonymi jakimikolwiek świadectwami i certyfikatami. I na to nakłada się jeszcze jeden

element, bardzo ważny od paru ładnych lat, a na pewno od 2004 r. czy tuż przed 2004 - element migracji. Ta część siły roboczej, wykwalifikowanej to też nie do końca jest zbadane, ale w migracjach krótkoterminowych do 6 miesięcy porusza się bardzo intensywnie po Europie, do tego dokłada się element nieco mniejszy, ale jednak istotny, emigracji czyli trwałej utraty określonej grupy pracowników, najczęściej bardzo wysoko wykwalifikowanej jak wskazuje doświadczenie ostatnich lat, z polskiego rynku pracy. I wreszcie na taki obraz społeczeństwa nakłada się, przynajmniej z mojego punktu widzenia, takie oto widzenie lewicy, że z jednej strony gdzieś w pewnym momencie - jak słusznie wspominałeś. Lewica instytucjonalna rozstała się ze swoim tradycyjnym elektoratem - przynajmniej do pewnego stopnia, z punktu widzenia człowieka siedzącego w związkach zawodowych; to było bolesne w pewnym momencie bardzo i miało bardzo daleko idące konsekwencje, które będą trwałe przez lata kolejne i podejrzewam, że na lewicę instytucjonalną, na jej wyniki będą bardzo mocno oddziaływały. Z drugiej strony to było brakiem refleksji, bo ja nie jestem przekonany, czy Leszek Miller popełnił błąd. Z jakiego punktu widzenia popełnił błąd? Jego działanie było efektem pewnego rodzaju analiz, analiz – podejrzewam – również pewnych wyników wyborczych w poszczególnych kampaniach, kto głosuje, kto nie głosuje, na kogo można liczyć jako na realny elektorat i na ten elektorat, który byłby potencjalnym elektoratem lewicy czy też tradycyjnym, ideowym z punktu widzenia analizy interesu, elektoratem lewicy, który jednak na wybory nie chodzi i głosów do urny nie wrzuca. W

związku z tym nie ma co na niego liczyć, bo to się nie przekłada na wynik wyborczy. To też mógł być być jakiś powód odejścia od tego elektoratu. Oczywiście są powody zewnętrzne, czyli cała kombinacja z redefinicją lewicy w wydaniu Blaira i Schroedera. I trzeba powiedzieć, że taka redefinicja jest konieczna. Natomiast ona poszła w takim kierunku, który był absolutnie destrukcyjny dla lewicy polskiej przy jakiejś formie akceptacji tego, co się stało. Z punktu widzenia czysto praktycznego, co dla mnie kluczowe, dla polskiej lewicy instytucjonalnej w ostatnich latach jest rozstanie się - na ile i jak dalece trwałe? - z ruchem zawodowym; oraz rozstanie się lewicy instytucjonalnej decyzyjnej - tych kręgów kierowniczych partii, różnych partii, ja nie mówię tylko o SLD, z kręgami intelektualnymi, czyli osłabienie wpływu refleksji intelektualnej na decyzje bieżące, praktyczne i polityczne. No i wreszcie pewien proces, który był nieunikniony: to, co inne ugrupowania polityczne przejęły z dorobku lewicy i to co z programów wyborczych tejże lewicy przejęły. Czyli - ja to słyszę nieustannie w ruchu związkowym - w zasadzie po co na to SLD mamy głosować? Jeżeli przyjrzymy się programom i temu co PiS robił... Giertych też nie był w pewnych fragmentach taki zły z punktu widzenia elektoratu socjalnego itd., itd. PO jest paskudne, bo PO jest do pewnego stopnia konsekwentne, ale te skrajne ugrupowania, szczególnie konserwatywno-nacjonalistyczne z reguły w polskiej rzeczywistości politycznej mają pakieciki bardzo mocne prosocjalne. A odpowiedź lewicy na to, co się

dzieje na rynku politycznym jest nikła i niezadowalająca. Tyle tytułem wstępnej refleksji.

Lech Kańtoch: Jeżeli chcemy sobie odpowiedzieć kogo i jak reprezentuje polska lewicy, to dla mnie zasadnym pytaniem: kto to jest dzisiaj w Polsce współczesna lewica? Czy są to partie nazywające się lewicowymi? Czy są to związki zawodowe? Czy jakaś mała grupa intelektualistów mówiących, że są związani z lewicą? My takiej odpowiedzi nie mamy. Poznałem badania dotyczące światopoglądu wewnątrz SLD, mam również doświadczenia na wszystkich poziomach rozmów z działaczami SLD, nie bardzo to są lewicowe poglądy wewnątrz SLD. Znam również inne średnie partie lewicowe i tam wcale nie jest lepiej. Myślę, że miejscami jest gorzej, a nie lepiej, więcej jest parcia na osobistą karierę a nie na ideę, dlatego ja nie wiem, gdzie i kto jest polską lewicą. Jak nie mamy lewicy to nie rozumiem całego pytania.

Leszek Lachowiecki: Chcę jednak wrócić do opisu polskiego społeczeństwa; ktoś postawił pytanie zasadne do główne pytania. Otóż odpowiedź na twoje pytanie będzie możliwa dopiero po stwierdzeniu, że istnieją warunki dla istnienia lewicy. Oczywiście, można założyć, że oto lewica roi się w głowach kilku geniuszy, zarażają oni całą resztę, ale ci geniusze muszą odnosić się do rzeczywistości społecznej i jakoś muszą tę rzeczywistość analizować, jakoś w niej partycypować i próbować zracjonalizować. Bogdanie, ty masz swoją

własną, dosyć zdeklarowaną i powiedziałbym dosyć precyzyjną koncepcję polskiego społeczeństwa, polskiej rzeczywistości. Chciałbym od ciebie usłyszeć, co jest - twoim zdaniem - najważniejsze z punktu widzenia odpowiedzi na pytanie, czy polska lewica istnieje, czy może istnieć w realnym społeczeństwie.

Bohdan Kaczmarek: Na pewno są środowiska i instytucje polityczne w polskim społeczeństwie, rozpoznawane jako lewicowe; przenoszą jakieś lewicowe wartości czy też próbują jakoś artykułować interesy tradycyjnie przypisane lewicy. Oczywiście można rozdzierać szaty nad jakością, ale też nie popadać w taki nihilizm twierdzący, że tej lewicy w ogóle nie ma albo nie wiemy, gdzie jest i czy jest. Można zawsze zadać pytanie odwrotne: czy jest prawica? Jak sobie dobrze zlokalizujemy prawicę, to wtedy będzie jaśniej widać, niezależnie od wszystkich słabości, że gdzieś jest także lewica. Naturalnie problem jest bardziej skomplikowany, bowiem istnieje problem treści uznanej za lewicową również w kontekście historycznym i skuteczności socjotechnicznej wyprzedzaży interesów lewicowych przez formacje, które zapowiadały, że prowadziły, albo nazwały swoją politykę lewicową, choć była ona niekoniecznie lewicowa itd. I tutaj na pewno jest ileś kwestii, natomiast to, na co chciałbym zwrócić uwagę sprowadza się do pytań: kogo lewica reprezentuje, czy reprezentuje, jak powinna reprezentować? Ja nie chcę powtarzać wyników badań, można różnie się do nich odnosić, ale w wielu kluczowych sprawach wynika, że jest

potencjalny elektorat lewicowy, że jest wielu ludzi, którzy myślą lewicowo, nawet jak mają wstręt nazywania się lewicowcami, bo to jest jeszcze inna kwestia, jak ci ludzie definiują własną samoświadomość. Jak ją identyfikują politycznie czy ideologicznie, do kwestii: własności prywatnej czy społecznienia, nieprzypadkowo wymieniam je na pierwszym miejscu, do kapitalizmu, do szukania alternatyw systemowych, relacji państwa i rynku, sprawiedliwości społecznej, do kwestii światopoglądowych czy światopoglądowo-obyczajowych, jak stosunek do przeszłości lewicy w Polsce, łącznie z eksperymentem realnego socjalizmu. Jeżeli ileś tych parametrów weźmie się pod uwagę, to na pewno jest tak, że istnieje 30, 40 - procentowa grupa ludzi, do których tak definiowana lewica mogłaby się odwoływać. Niestety jest problem, że ona tego nie robi, głównie zajęta sobą albo jeżeli już dostaje społeczne przyzwolenie, to je paprze. Jest też problem, że pokłady istnienia lewicowego w społeczeństwie zostały dostrzeżone nie tylko przez lewicę i wyartykułowane w interesach społeczno-ekonomicznych, ale dostrzegła je także prawica i populiści, którzy zagospodarowali przestrzeń społeczną i wyrwali lewicy politycznej monopol, przynajmniej w sferze instytucjonalnej. Natomiast jeżeli chodzi o reprezentację: na pewno jest tutaj dość kluczowa kwestia, która została zasygnalizowana i na którą warto zwrócić uwagę z powodu niezborności, jałowej roztrzęsalskości, którą widać na lewicy; w praktyce politycznej obowiązuje skrajny pragmatyzm, jako odpowiedź na pytanie: co to znaczy reprezentować? Z pewną sztuką marketingowej

reprezentacji mamy do czynienia w postaci obecnie rządzących, to znaczy można rozumieć reprezentację w ten sposób, że się będzie publiczności kadzić, przewidywać, co ona może wymyśleć, dopasowywać się w konsekwencji do wyników sondaży, jeżeli ma się do tego profesjonalnych doradców czy aparat, pewne talenty aktorskie i odpowiednią elastyczność kręgosłupa; wówczas mamy do czynienia z fenomenem zupełnie skutecznie, jak do tej pory, broniącym się przed utratą władzy przez schlebianie publiczności. To oczywiście nie oznacza, jak w tym przypadku, poważniejszego wyboru, przynajmniej deklarowanego ideowo, chociaż w sensie funkcjonalnym to wybór oczywiście oznacza, jest to z całą pewnością rządzenie, które polega na reprodukcji istniejącego systemu. W ramach osłony reprodukcji istniejącego systemu uśmiechamy się do publiczności, tak jak ona tego oczekuje, w ten sposób znieczulając, czyli uniemożliwiając wyartykułowanie ewentualnej kontestacji wobec tej rzeczywistości. Lewica też szła w tym kierunku, też ma podobne doświadczenie. W jakiś sensie rozwalenie poprzedniego SLD, dialogu naszej lewicy, stworzenie SLD jako partii władzy, zaprzepaszczenie dorobku, który w SdRP - przynajmniej ideowy - moim zdaniem był, zostało spowodowane takim sposobem uprawiania polityki, który jest obliczony na wybory. Czy sposób uprawiania polityki obliczony czy zracjonalizowany na zwycięstwo wyborcze jest reprezentacją i czy jest reprezentacją oligarchii partyjnej, która dzięki temu może powtórzyć czy rozszerzyć swoje miejsce w systemie władzy, czy to musi mieć coś wspólnego z reprezentacją? Odpowiedź

na to pytanie wcale nie będzie taka prosta, jak widać po tym doświadczeniu. Z reprezentacją interesów lewicowych to wiele wspólnego nie ma. Ja widzę w tych różnych dyskusjach cały czas tęsknotę do powtórzenia starego manewru, ale mam wątpliwości, czy warto. Jeżeli nawet byłoby to możliwe, gdybyśmy pelengowali częstotliwości różnych bieżących oczekiwań opinii publicznej i skonstruowali taki przekaz komunikacyjny po stronie lewicowej, że będziemy wszystkie te doraźności wyłapywać i nawet, jeżeli będziemy mieli utalentowanych przywódców (na nadmiar których ostatnio nie możemy specjalnie liczyć, którzy świetnie zagospodarują ten warsztat), to przecież - jak uczy doświadczenie - prędzej czy później staniemy wobec wyboru, czy prowadzić taką politykę zagraniczną, jaką prowadziliśmy, jak zachować się w kwestiach dotyczących prywatyzacji, w stosunku do korporacji na przykład - że wobec takich problemów rzeczywistość jest społecznie konstruowana, że jest jednak problem sumienia świata materialnego i przyrody; to prędzej czy później ta rzeczywistość spowoduje sprawdzenie. I taka dmuchana, balonowa polityka, taki błyskotek, która na dodatek będzie się jeszcze reprodukować, iluś tam ludzi jeszcze do tego dołączy, będzie załatwiać swoje przyziemne sprawy, przywdziewając różne maski itd. wcześniej czy później - pęknie. Myślę, że kluczowy problem na lewicy to jest to, że ona nie ma projektu globalnego. Siła lewicy polegała na tym, że dysponowała projektem globalnym, a nie narodowym. Jak się nadmiernie lewica wpisywała w narodowe instytucje parlamentarne, to wystarczy spojrzeć na początek XX

wieku, czym to się kończyło. Problem lewicy to deficyt projektu globalnego niezależnie od tego, jak może śmiesznie wyglądać takie nawoływanie z punktu widzenia dość ciekawie ułożonego ale na pewno nie globalnie najważniejszego ustawienia rzeczy na świecie, w jakim się znajdujemy. Czyli tak naprawdę rozważanie jest ważne - jakie są częstotliwości nadawania w społeczeństwie, jak je wyłapać. Lewica powinna dysponować profesjonalnym aparatem. Lewica powinna sobie odpowiedzieć na pytanie, czego chce, jaką ma wizję świata. Lewica odnosiła sukcesy nie dlatego, że lokalnie miała wizje, ale gdzieś na zapleczu była wizja globalna. Kluczową kwestią jest stosunek do współczesnego kapitalizmu, stosunek do rynku, stosunek do sprzeczności globalizacji, wyrwanie z eurocentryzmu, sformułowanie oferty, która zagra o kontynuację formacji, tych wartości w globalnym wymiarze. Lewica dzisiaj nie konkuruje tak naprawdę z prawicą lokalną. Gdyby analizować to, z kim lewica konkuruje w Polsce, oczywiście z PiS-em, z Platformą Obywatelską, ale to są lokalności, za którymi się kryją pewne oferty ideologiczne czy to konserwatywne czy to konserwatywno-nacjonalistyczne czy neoliberalne w wymiarze globalnym. Cienkość, ten pisk polskiej lewicy daje się przeraźliwie słyszeć, kiedy ona próbuje sprowadzić ogląd świata wyłącznie do wymiaru lokalnego i nieudolnie próbuje dopasować swoją politykę marketingową do jakichś bieżących oczekiwań; wtedy kiedy debata schodzi na jakieś gruntowne wyzwanie - to w ogóle głosu lewicy instytucjonalnej nie słychać. Obecni lewicowcy mają takie obrzydzenie do okresu realnego socjalizmu, że nie są w

stanie dostrzec tam w ogóle lewicy. Ten pogląd jest poglądem zupełnie fałszywym. W każdym razie to, co niewątpliwie jest potrzebne, to jest debata nad bardziej globalnym wymiarem tego, czym jest lewica i jaką ma organizację. Bo tak naprawdę chodzi o to, z kim lewica musi się zmierzyć. Lewica w sensie intelektualnym i politycznym mierzy się ze światowym kapitalizmem. Zawsze tak było i tak jest. Jak lewica zaczyna gubić tę perspektywę to co najwyżej staje się kwiatkiem do kożucha, cukierkiem, który osładza istniejącą rzeczywistość. Ja mówię o takim strategicznym wyzwaniu, taktyki mogą być różne, doraźności mogą być różne, ale tu jest kluczowa sprawa. Lewica wraz z upadkiem realnego socjalizmu przy wszystkich jego słabościach utraciła władzę - kluczowy środek, jakim były instrumenty socjalistycznego państwa czy socjalistycznych państw. Dzisiaj lewica jest pozbawiona w wymiarze globalnym hegemonii ideologicznej, posiadania kontroli nad materialnymi środkami reprodukcji idei w wymiarze globalnym, to kształtuje świadomość, czyje idee są ideami panującymi epoki. Realny socjalizm był jakąś eksperymentalną alternatywą, która przynajmniej motywowała lewicę i temperowała sam kapitalizm. Dzisiaj Lewica jest pod kontrolą systemu - ekonomiczną, ideologiczną i polityczną. Jej narracja jest pod kontrolą i zdolność do tworzenia narracji alternatywnej w stosunku do tej określającej istotę współczesnego kapitalizmu jest dość ograniczona. Trzeba sobie z tego zdać sprawę i zacząć czytać różne debaty na temat lewicy i jej misji; na ile one budują jakąś szansę wyzwolenia z tej wielowarstwowej

hegemonii? Pesymistyczny obraz się z tego wyłania, ale tak jest. Może trzeba się jakoś z tym obrazem zmierzyć, nie ograniczając debaty, skądinąd ważnej, do kwestii korespondencji polskiej lewicy, w tym lewicy instytucjonalnej, w tym lewicy postkomunistycznej z polskimi realiami, bo one są tutaj jak najbardziej istotne, z tym, że ja nie chcę historii powtarzać: system poradził sobie na razie z alternatywą lewicową i radzi sobie. Radził sobie w przeszłości różnymi metodami, pewnie radzić sobie będzie różnymi metodami w przyszłości. Tutaj trochę nadziei na szukanie alternatyw - pewne nadzieje mogłyby być wiązane z tym, że ten kryzys obnaża jednak trwałość strukturalnych sprzeczności kapitalizmu w tym sensie, że pobudza na pewno intelektualną debatę. Jej wyrazem, jakością, taką dekompozycją tego tradycyjnego przynajmniej sposobu zarządzania systemem jest wyłom w oczekiwaniach części ludzi związanych z obecną administracją amerykańską. Ludzie czasami niewiele mogą zrobić, jeżeli nie wezmą się za przekonanie konstrukcji. Jeżeli kierują konstrukcją, która ma określoną bezwładność to zapewnia ona sobie ruch przy pomocy określonego typu silników, ma określoną kadrę nawigatorów czy obsługi - to pokazuje pewną niemoc jednostki, czyli niemoc grupy w starciu ze strukturalnymi warunkami, z punktu widzenia tego całego mechanizmu prywatyzacji kapitalistycznego systemu, prywatyzacji wojny, prywatyzacji bezpieczeństwa, elit, które obsługują system, który się ukształtował w ciągu ostatnich lat.

Leszek Lachowiecki: Mówiłeś, że lewica znalazła się pod wpływem systemu, który poradził sobie z alternatywą lewicową. Byłoby rzeczą niepryzwoitą gdybyśmy nie poświęcili paru słów temu, co od 89 roku działo się z lewicą, z jej reprezentacją polityczną - głównie z lewicą instytucjonalną; należałoby także kilka słów poświęcić lewicy integralnej, ponieważ istnieje paradoks: reprezentacja polityczna obecnie przypadła wyłączna SLD, ale w tej partii obowiązuje program dnia, to jest rzecz uchwycona dzisiaj, jutro już nieaktualna. Gdybyś, Michale, przypomniał - pisałeś na ten temat - koleje degrengolady, chyba to tak należy nazwać zwłaszcza lewicy instytucjonalnej, ale także nieporadności lewicy pozainstytucjonalnej w ostatnim 20-leciu. Potem zwrócę się do Mirka, żeby nam przedstawił tę kwestię z punktu widzenia nadbudowy – świadomości, pewnych metaforycznych ujęć, języka itd., gdyż to są zjawiska, które się ze sobą silnie wiążą.

Michał Syska: Po pierwsze: bardzo dobrze, że wyszedłeś w tej dyskusji od określenia stanu rzeczy, status quo przedstawione tutaj bardzo przez Maćka Gdulę, ponieważ wydaje mi się, że dzisiaj w ramach lewicy instytucjonalnej spór nie dotyczy wizji przyszłości, ale interpretacji status quo. Ja przynajmniej odnotowuję, że najostrzejszy spór dotyczy oceny obecnie panującej rzeczywistości i np. z wielkim zainteresowaniem wysłuchałem w ostatnich tygodniach deklaracji wygłoszonych przez polityka, który jest uważany za najpoważniejszego kandydata lewicowego na prezydenta, który zadeklarował,

że nie będzie startował, ale prowadzi we wszystkich sondażach i jest przez znaczną część opinii publicznej, przede wszystkich mediów, lansowany jako tzw. lider nowej formacji lewicowej. On zupełnie inaczej definiuje rzeczywistość; były premier, były minister spraw zagranicznych, były minister sprawiedliwości twierdzi, że ogólnie sytuacja w Polsce według niego jest pozytywna, ludziom żyje się dobrze i coraz lepiej i że przede wszystkim młode pokolenie jest bardzo zadowolone z obecnej sytuacji bytowej, ekonomicznej i że on lepiej zna sytuację pokolenia 30-latków, czyli mojego pokolenia niż grono kierownicze Sojuszu Lewicy Demokratycznej. Ja nie wiem, jak liderzy SLD oceniają sytuację obecnych 30-latków, bo niewiele na ten temat słyszałem. Natomiast ja wywodzę się z tego pokolenia i moja opinia jest radykalnie odmienna od opinii rzeczonoego polityka i jednego z liderów sondaży prezydenckich, a także opinia moich kolegów i znajomych, którzy zostali zmuszeni do emigracji zarobkowej do Irlandii czy Anglii bądź też podjęcia pracy, która nie odpowiada ich aspiracjom i zdobytemu doświadczeniu. Natomiast chciałem zwrócić uwagę na taki aspekt, że do niedawna miałem radykalną i krytyczną opinię na temat 20-letniego dorobku lewicy postkomunistycznej w Polsce, ale moja opinia jest coraz bardziej wysublimowana, zniuansowana, ponieważ coraz bardziej jestem przekonany, że ten bilans jest wynikiem pewnych obiektywnych okoliczności, a mianowicie okoliczności, w jakich w ogóle były tworzone systemy partyjne po 89-tym roku w regionie Europy środkowowschodniej i przez sam fakt, które siły

zdominowały lewą stronę sceny politycznej. Wydaje się, że w przeciwieństwie do socjaldemokracji zachodnioeuropejskiej, które wywodzą się z ruchów masowych i z partii masowych, które były tworzone zewnątrz, tzn. najpierw istniał ruch robotniczy, związki zawodowe i na ich bazie dopiero tworzyła się partia polityczna, która była wyrazicielem interesów tej bazy robotniczej, postkomunistyczna socjaldemokracja powstała po 89 roku rodziła się jako ugrupowania raczej niewielkie, niemasowe, tworzone przez elity, z reguły na poziomie parlamentarnym. Więc siłą rzeczy jest tutaj bardzo istotna różnica w pozycji tych partii, i tak, jak można widzieć paralele między kryzysem SLD a kryzysem Labour Party czy SPD to jednakowoż sam fakt, że SPD jest silnie osadzona w ruchu pracowniczym tak samo jak Partia Pracy, która wprost wyrasta ze związków zawodowych – czyni istotną różnicę. Dlatego tamten kryzys polega na tym, że poparcie dla lewicy politycznej spada z 40 proc. spada do 20 co jest uznane za klęskę, a w Polsce spada z 40 do 8 proc. Wydaje mi się, gdy tak analizowałem przemiany organizacyjne i programy SdRP i SLD, że liderzy SLD świadomie przyjęli taką koncepcję catcher party, czyli taką koncepcję partii, którą opisał kiedyś Mayer w 1966 r. czyli partii nastawionej nie na apel klasowy, skierowany do konkretnej grupy wyborców, tylko na apel kierowany szeroko; głównym celem partii jest maksymalizacja wyniku wyborczego. To się oczywiście łączy z pragmatyzmem - partia nie jest ideologiczna tylko pragmatyczna. I to widać nie tylko w działaniach tej partii, ale także w deklaracjach. Otóż Leszek Miller już w 1991 r. podczas

przygotowań do kampanii wyborczej powiedział, że naszym głównym celem jest maksymalizacja wyniku wyborczego, tzn. w pierwszym okresie działalności SdRP walczyła o przetrwanie i tam nie było miejsca na jakąś pogłębioną dyskusję programową czy dyskusję nad wizją, tylko przetrwanie na scenie politycznej w postaci partii wtedy jeszcze izolowanej. To się zmienia w roku 1993, gdzie - jakby wiadomo - SLD ma realne szanse objąć władzę w Polsce i wtedy widać wyraźnie, że typ apelu wyborczego się zmienia. O ile na początku w roku 1990-92 SdRP kierowało swój apel przede wszystkim do byłych funkcjonariuszy partii i nawet znalazłem wprost taką uchwałę Krajowego Komitetu Wykonawczego, który nazywał się „apel do byłych członków partii”, gdzie było napisane: nikt was nie obroni, tylko my was obronimy, więc wstępujcie w naszego szeregi albo głosujcie na nas. Zwracano się do ludzi poszkodowanych przez transformację przede wszystkim w średnich i małych miastach. Jak widać w roku 1993 w trakcie kampanii wyborczej Sojusz Lewicy Demokratycznej zaczyna się prezentować jako partia cywilizowana, co widać także w zmianie hasła, w 1991 to było: tak dalej być nie może, w 1993 to hasło brzmi: tak dalej być nie musi. I Aleksander Kwaśniewski mówi, że jesteśmy partią przewidywalną i przede wszystkim SLD jawi się jako partia profesjonalistów, która jest w stanie skutecznie administrować i rządzić w przeciwieństwie do skłóconej zideologizowanej czyli nieprofesjonalnej prawicy. Apogeum przejścia w kierunku partii typu catcher, to jest właśnie przekształcenie SdRP w Sojusz Lewicy Demokratycznej. I warto przypomnieć,

że do tej decyzji liderzy SdRP dojrzewali już kilka lat wcześniej. Na przykład już w 1996 r. na naradzie aktywu kierowniczego SdRP w Mierkach, i tutaj nawiązuję do wypowiedzi o związkach SLD z ruchem pracowniczym, Marek Borowski mówi wprost, że mamy pewien problem w ramach działalności SLD, ponieważ często musimy się tłumaczyć, my politycy SdRP z obietnic wyborczych które złożyło OPZZ. I tam wyraźnie widać, że chodzi o zmniejszenie roli związków zawodowych i zorganizowanego ruchu pracowniczego w ramach lewicy partyjnej. I jest drugie wystąpienie bardzo znaczące Józefa Oleksego, który mówi – tutaj cytuję – że często stawia nam się zarzut, że jesteśmy partią pragmatyczną i ja tego nie odbieram jako zarzut, tylko jako wartość, jesteśmy partią socjaldemokratyczną, więc jesteśmy partią nieideologiczną. Lider SdRP wprost mówi, że socjaldemokracja to nie jest ideologia, tylko to jest pragmatyzm i wprost mówi, że jesteśmy partią wyborczą w 1996 r. Partia SLD stworzono w momencie, kiedy Gerhard Schroeder i Tony Blair piszą manifest socjaldemokratyczny. Oczywiście nigdzie państwo nie znajdziecie wprost odniesienia się polityków SLD do manifestu socjaldemokratycznego. Odbyła się jedna lub dwie dyskusje. Jedna u Leszka Lachowieckiego, jedna zorganizowana przez Myśl Socjaldemokratyczną, gdzie politycy SLD ogólnikami zbywają tę dyskusję, nie odnosząc się do niej wprost. Natomiast Leszek Miller przyznaje się wtedy, że jedzie do Labour Party i tam mówi, że zainspirowało go to, że koledzy brytyjscy powiedzieli mu, że lewicowym przekazem nie wygrywa się wyborów, tylko wybory wygrywa się

przesuwając partię do centrum, bo trzeba zdobyć 40 proc., a w Polsce jest 15 proc. elektoratu lewicowego. Warto przypomnieć, że Leszek Miller poszedł dużo dalej niż Blair, bo już od 2003 r. – i to jest wypowiedź z Rady Krajowej SLD –stawia za wzór nie Szwecję, nawet nie Wielką Brytanię pod rządami Tony Blaira. tylko Irlandię. I wtedy pojawia się koncepcja podatku liniowego. Warto zwrócić uwagę, że przyjęcie tożsamości ideowej przez SLD też odbywało się przy totalnym braku jakiegokolwiek debaty wewnętrznej, to znaczy programy w SdRP i SLD były przyjmowane bez pogłębionej dyskusji i niemal jednogłośnie na zjazdach partyjnych. Więc raczej się troszkę nie zgodę, że niekoniecznie lewicę można zdefiniować na zasadzie, że jak wiemy, co to jest prawica to od razu będziemy widzieć, co to jest lewica. Wydaje mi się, że w SLD mamy do czynienia z czymś takim, że to nie jest lewica, tylko po prostu nie prawica, co było widać wielokrotnie, np. bardzo często używaną retoryką do mobilizacji elektoratu w ustach polityków SLD było straszenie straszną prawicą. W każdej kampanii wyborczej ta retoryka strachu przed straszną prawicą była używana. Brakowało tutaj właśnie takiej prezentacji pozytywnej - do czego zmierzamy, czego chcemy. Ten model można odnieść także do innych partii, np. węgierska partia socjalistyczna wydaje się, że boryka się z podobnymi problemami. Ale warto tutaj na zakończenie sięgnąć też po aspekt personalny czy geograficzny. Opieram się na badaniach przeprowadzonych przez zespół profesora Raciborskiego i wnioski, które wysnuł Przemysław Sadura; przeprowadził on ankiety wśród członków rządu Leszka Millera i na tej podstawie stworzono

profil typowego działacza lewicy postkomunistycznej, który zaczynał swoją karierę w Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej bądź w ZSMP bądź w ZMP w końcówce lat 70-tych – wtedy, kiedy ta partia była pragmatyczną partią władzy. Motywacja towarzysząca tymże postaciom przy zapisywaniu się do tych organizacji była motywacją czysto pragmatyczną. Z tych ankiet wprost wynika, że głównie wstępowano dlatego, że to dawało możliwość działania bądź dawało możliwość awansu naukowego, ciekawych wyjazdów ect., ect. Natomiast to nie był to był wynik namysłu ideowego i wydaje mi się, że przyjęta orientacja socjaldemokratyczna także nie wynikała z jakiejś głębszej refleksji, tylko była formą zalegitymizowania się tej grupy w nowych warunkach rywalizacji parlamentarnej po 1989 r. A dzisiaj? Na tzw. Konferencji Programowej Napieralski zamiast programu zaprosił Leszka Millera.

Leszek Lachowiecki: Mnie interesuje również króciutki rys lewicy nieinstytucjonalnej. Jaką ona odgrywa rolę, jaką nadzieję można z nią wiązać? Mam wrażenie, że to jest ważne w kontekście tego, skąd się rekrutowali politycy SLD i ich zgody na system, szybkie pogodzenie się z porządkiem w którym się funkcjonuje. To jest coś, co nie charakteryzuje lewicy pozainstytucjonalnej. Lewica wywodząca się z PZPR miała pragmatyczny stosunek do gry politycznej, np. do kwestii gry z kościołem, z różnymi grupami interesu, dysponując doświadczeniem w budowaniu pragmatycznych, aidewoych porozumień. W ten sposób całkowicie zatracala się w grze, tzn. zatracala się w bieżącej polityce, gubiąc z oczu horyzont w którą stronę

zmierzała transformacja, jaki kapitalizm powstawał; ostatecznie wpisała się w reguły gry.

Maciej Gdula: To jest coś, co ją odróżnia od lewicy pozainstytucjonalnej, zawsze dużo słabszej politycznie, zawsze cieszyła się jeszcze mniejszą prawomocnością niż ta mała prawomocna lewica instytucjonalna w jakimś sensie przez lata 90-te na pewno po 2000 r. zaczyna się dosyć silny ferment intelektualny. Ja pamiętam sytuację z lat 90-tych, kiedy w zasadzie było jedno wydawnictwo intelektualne lewicowe, „Lewą nogą” do kupienia w „Prusie”. Teraz widzę, że jest ich kilka, tzn. nie j tylko „Krytyka Polityczna”, ale także „Le Monde diplomatique”, są pisma anarchistyczne, są wydawnictwa, które w zasadzie tłumaczą na bieżąco całą krytyczną literaturę, nie chcę tu się licytować na ilość, chodzi mi o taką zmianę, którą można naprawdę zauważyć w księgarniach. Kiedyś dostęp do lewicowych idei był bardzo ograniczony, a teraz jest znaczny. Jaki jest problem z tą lewicą pozainstytucjonalną? Ja mam wrażenie, że czasami uprawianie polityki przybiera tam postać dążenia do zachowania czystości, to bardzo osłabia tak naprawdę, bo taka bezkompromisowość i krytyka systemu przeradza się łatwo w sekciarstwo. Takie myślenie o polityce, że jest to przede wszystkim stawianie oporu a nie wymyślanie nowych form społecznych, najbardziej mi przeszkadza, tzn., że myśli się o tym, jak dowalić kapitalizmowi, bo to jest okey. Jedni myślą, jak się pogodzić jak kapitalizmem za szybko, drudzy myślą, jak się w ogóle z nim

nigdy nie pogodzić, rozwalić go, a najlepiej nie mieć nigdy z nim kontaktu. I to się niestety przeradza w taką obronę tożsamości, w strach przed wchodzeniem w sojusze, co w efekcie uniemożliwia odniesienie się do sporu w sferze publicznej, bowiem za dużo kwestii funkcjonuje na zasadzie: to są spory jakiejś prawicy, to są spory „Gazety Wyborcze”j, to są spory w rodzinie między PO a PiS. Tymczasem uchodźcami z Gruzji i Czeczenii zainteresował się od razu Lech Kaczyński. Nie słyszałem, żeby się zainteresował któryś z polityków SLD, wyszedł, zrobił konferencję prasową, że to jest strasznie ważna sprawa dotycząca przemian współczesnego kapitalizmu, uchodźców, emigracji, tego jak są traktowani ci ludzie; czegoś takiego nie było. Chciałbym, żeby zamiast pragmatycznej lewicy pogodzonej z systemem i krytycznej lewicy pozasystemowej istniała taka lewica, która jest w stanie pójść na kompromis, ale po tym, jak się już pokłóci, tzn. po tym, jak zostaną wyartykułowane interesy różnych grup, po tym jak zostaną wyartykułowane ideały, jak się zdefiniuje, w jakim porządku ludzie chcieliby żyć, po tym jak się zdefiniuje wartości, za którymi się opowiadamy. Wolałbym żeby istniała taka lewica. Wracając trochę do kwestii reprezentacji; można sobie wyobrazić taką lewicę, która reprezentuje interesy, one też muszą być określone, bo tak jak w II Międzynarodówce partia reprezentuje historyczne niebieżące interesy, zawsze reprezentacja to jest jakaś gra pomiędzy tym, co jestm a tym co powinno być. Może reprezentować pewne ideały i to są także pozamaterialne interesy związane np. z dostępem do prawa do przerywania ciąży, z dostępem do

edukacji seksualnej. To są bardzo ważne rzeczy, o których nie można zapominać. To nie jest tylko kwestia marginaliów; gdy się mówi o prawach do związków jednopłciowych, o jakiejś tam kwestii dotyczącej 2 proc. ludzi. To nie jest kwestia marginalna, bo dotyczy w ogóle reguł, całego porządku, tzn. porządku stosunków między osobami heteroseksualnymi, to jest związane ze sposobem funkcjonowania męskości w kulturze, to jest zawsze powiązane. Jest trzecia sprawa, to jest sprawa tożsamości, tzn. można reprezentować tożsamość. W tym sensie lewica jest niezła, myślę, że ta instytucjonalna, bo reprezentuje tożsamość, w jakimś sensie wspólnotę biograficzną ludzi związanych z PZPR-em. I to jest raczej problem, niż zaleta, bo ta tożsamość będzie się coraz bardziej dewaluować, ona też bardzo mało znaczy, nie ma dzisiaj wartości krytycznej, a z drugiej strony ta pozainstytucjonalna lewica też jest świetna w dochowywaniu wierności swojej tożsamości, tylko to się nie przekłada na jakąś mocną pozycję w polityce.

Leszek Lachowiecki: Obie lewice są bardzo mocno tożsame, ale ta tożsamość jest raczej chwilą słabości niż siły.

Michał Syska: Miałem powiedzieć o dwóch obiektywnych czynnikach, powiedziałem o jednym, o drugim nie. A ten drugi, wydaje mi się, trochę tłumaczy słabość lewicy pozainstytucjonalnej. Mianowicie jedno zdanie chciałem powiedzieć o podziałach socjopolitycznych w Europie Wschodniej, bo one inaczej się kształtują niż podziały, które są w Europie Zachodniej. To także ma wpływ na kształt lewicy. Otóż o ile w Europie Zachodniej identyfikacje

partyjne są z reguły wynikiem interesu ekonomicznego czy podziałów socjoekonomicznych, to w Europie środkowowschodniej dominują podziały związane na modernizatorów i tradycjonalistów, a w Polsce dodatkowo na postkomunistów i solidarnościowców. Tutaj dochodzi stosunek do kościoła, do tradycji. Według tych dwóch osi Polacy i Polki podejmują decyzje wyborcze, tzn., nie według kwestii interesu ekonomicznego. I ta lewica pozainstytucjonalna czy te partie, które próbowały być na lewo od SLD nie wpisywały się tą logikę podziałów socjopolitycznych. Np. 15 proc. ankietowanych, które definiuje się jako ludzie lewicy wymienia stosunek do PRL i stosunek do kościoła przede wszystkim, nie stosunek do kwestii interesu społecznego. Wydaje mi się, że to jest czynnik powodujący, że tutaj było trudno o taką lewicę, która wzorem socjaldemokracji zachodnioeuropejskiej artykułowała kwestie ekonomiczne. Warto spojrzeć na takie paradoksy, że np. w 2005 r. największy odsetek bezrobotnych oddał swoje głosy na Donalda Tuska w wyborach prezydenckich.

Bohdan Kaczmarek: Ja oczywiście w dużym stopniu podzielam opinię, że na to, co się działo dalej z lewicą po przemianie ustrojowej, w istotnym stopniu wpływ miała kondycja ludzi; przed wyzwaniem dopasowania czy wmontowania się w nowy system społeczno-ekonomiczny i polityczny stanęli ludzie, którzy dysponowali określonym doświadczeniem profesjonalnym w zakresie zarządzania, sprawowania władzy, określonymi kontaktami, zupełnie

przyzwoitym wykształceniem, natomiast to na pewno nie byli ludzie o stosownym potencjale krytycznym wobec rzeczywistości i raczej motywowani oportunistycznie. Jest to w jakiś sposób nieuniknione, jeśli popatrzeć jednak na ileś lat istnienia poprzedniego systemu, to z natury rzeczy każda kolejna generacja wychowywana w realiach tamtego systemu reprodukowała jakieś postawy oportunistyczne. Myślę, że ta generacja fundatorów systemu, pamiętająca poprzednią epokę – kapitalizm, zmuszona dokonywać wyboru w warunkach braku pozytywnych gratyfikacji związanych z takim wyborem, była po prostu bardziej ideowa. Kolejne zmiany, że tak powiem, były bardziej pragmatyczne; w jakim sensie pewnie to jest proces w odniesieniu do każdego systemu nieuchronny. Gdyby ideologia lewicowa była nie tyle narzędziem krytycznej analizy rzeczywistości, tylko mechanizmem legitymacji istniejącego systemu władzy, ta funkcja afirmatywna lewicowej narracji odgrywałaby istotniejszą rolę, niż w warunkach czystej powiedziałbym konkurencji. Ale też przeciwstawiłbym się jednoznacznemu przekonaniu, że to wszystko, co odziedziczone po PRL-u to oportuniści, karierowicze, ludzie wyprani z idei itd. To jest podejście błędne, bo przecież, gdyby popatrzeć na różne przełomowe okresy, w których była możliwość krystalizacji linii politycznej, debaty ideologicznej w historii partii, to był w niej splot wielu bardzo różnych nurtów. Powiedziałbym, ideowości bardzo wielu ludzi zweryfikowanej w określonych sytuacjach historycznych odmówić nie można. Oczywiście były różne stanowiska dotyczące i rzeczywistości, i rozumienia socjalizmu, i wielu innych

rzeczy, ale takie jednoznaczne zakwalifikowanie, że tam był jedynie oportunistyczny aparat - po prostu wydaje mi się zdecydowanie nie na miejscu. Przypominam sobie lata 70-te i przypominam sobie okres lat 80-tych, początek do sierpnia, IX Zjazd Partii, platformy, które się wówczas pojawiały, przypominam sobie także różne ruchy bardzo ciekawe wewnątrz ruchu młodzieżowego, w tym SZSP, taką platformę wrocławską, która działała na Uniwersytecie Wrocławskim, platformę Życie, która tutaj działała w Warszawie. Istniała lewica, były całkiem ciekawe debaty na temat kształtu tego systemu, pamiętajmy, że pewną konsekwencją negatywną stanu wojennego było jednak obcinanie skrzydeł i pozostawienie kadłubka, który ma kłopoty z miękkim lądowaniem, po pierwsze, jak już się wzniesie, a po drugie ma pewne kłopoty ze wznoszeniem. Myślę, że jeżeli budować przyszłość lewicy to można i powinno się w nurcie postkomunistycznym czy postpeerelowskim dostrzec te wartości. Ja już nie mówię o samym doświadczeniu realnego socjalizmu, ale też takie ustawianie wyłącznie wszystkiego w ten sposób wydaje mi się nie do końca sensowne. I ostatni wątek na temat budowania przyszłości systemu. To też nie jest tak, że kształt instytucjonalnej lewicy, mechanizmy, które zdecydowały o takim, a nie innym ukształtowaniu SdRP nie poprzedzone były jakąś debatą. Akurat pamiętam dość dobrze ten czas. Np. niektóre przedsięwzięcia o charakterze organizacyjnym, które można było uczynić w końcu roku 1989 r. i które by lepiej przygotowywały lewicę do istnienia w warunkach konkurencji politycznej i w warunkach zmieniającego

się systemu przedsiębrane nie były - a mogły być. To są wbrew pozorom dość istotne kwestie, bo tutaj była mowa apelu do byłych członków partii. W gruncie rzeczy ta stara partia, w którymś momencie nie ułatwiła swoim członkom odnalezienia się w nowej rzeczywistości. A to nie jest tak, że musiała tak zrobić, bo w jakimś sensie to jest konsekwencja wyprowadzenia partii z zakładów pracy, gdzie było naturalne środowisko integracji, i nie stworzenia mechanizmów, w którym ci ludzie odnaleźliby się w nowych strukturach. Nie jestem w stanie do końca odpowiedzieć na pytanie, jakie były ostateczne motywy, ale powiedziałbym, że znam kwity z tego okresu i różne dyskusje; to nie jest tak, że nie było innego wariantu. Ten wariant w polskim przypadku mści się na lewicy po dzień dzisiejszy. Jak popatrzeć na podziały instytucjonalne, polityczne w niektórych przynajmniej ościennych krajach - tam przechował się mur bardziej ideologicznie zdeklarowany, choć czasami oczywiście w historycznej otoczce w postaci czy to partii komunistycznej, jak w Czechach, czy w przypadku partii demokratycznego socjalizmu czy Die Linke w Niemczech. Natomiast w Polsce, moim zdaniem, pewnym błędem z dzisiejszej perspektywy było to, że nie stworzono, czy sami nie stworzyliśmy sobie szansy wyartykułowania rozwiązania instytucjonalnego na lewo od centrowo-prawicowej socjaldemokracji. I to się po dzień dzisiejszy mści. Tak naprawdę jakimś wyzwaniem dla lewicy, bo od razu niczego nie da się zrobić, jest w końcu doprowadzenie do powstania oferty na polskiej scenie politycznej. Z

tym, że nie tylko oferty w sensie intelektualnym, ideowym itd., ale oferty w sensie organizacyjno-politycznym.

Jakub Kus: Te wypowiedzi bardzo mi uporządkowały mój tok myślenia, szczególnie analiza historyczna od 1989 r. Ja bardzo się bałem pytania, czy te niby lewicowe związki zawodowe są lewicowe. Już nie są. Jakby na nie patrzeć - już nie są. Ale nie wiem, czy państwo zauważyliście w takim serialu, który „Gazeta Wyborcza” robi sobie od jakiegoś czasu, tworząc panegiryk dla demiurga polskiego kapitalizmu Leszka Balcerowicza, we wczorajszym wydaniu, wśród różnych łomotów, był jeden bardzo istotny z naszego punktu widzenia. Otóż Leszek Balcerowicz stwierdził, że świadomych zwolenników socjalizmu w Polsce jest 2 proc. Ja byłbym nawet skłonny się z tym zgodzić, gdyby jednocześnie stwierdził, że świadomych zwolenników kapitalizmu jest 2 proc. Przy tym wszystkim być może on ma odrobinę racji, nawet śledząc tok naszego rozumowania tutaj. Należy sobie zadać dwa pytania. Pierwsze pytanie: czy zwolennik gospodarki rynkowej może definiować się jako lewica – w kategoriach czysto ekonomicznych? A drugie pytanie: czy ktoś, kto w sferze obyczajowej, mentalnej, neguje pewne deklaracje lewicowe - stosunek do mniejszości seksualnej, stosunek do kościoła - może definiować się jako lewica. W jaki sposób to połączyć, gdzie znaleźć element wspólny. Można by oczywiście powiedzieć, że lewicę w sferze ekonomicznej definiuje pewien określony poziom zgody na redystrybucję dóbr. Ponieważ lewica sama się

pozbawiła pewnych instrumentów nie ma pomysłu globalnego na rzeczywistość, natomiast kapitalizm taki pomysł ma i go realizuje; polska lewica nie zauważa nawet pomysłu regionalnego, czyli możliwość wpływania na rzeczywistość poprzez Unię Europejską na instytucje. Nie chodzi tylko o państwo, chodzi o wszelakie instytucjonalne struktury, takie właśnie jak Unia Europejska na poziomie europejskim, na poziomie lokalnym, samorządu itd. Być może należałoby sobie zadać to pytanie, czy to nie jest jakieś kryterium, precyzujące współcześnie rozumianą lewicę.

Leszek Lachowiecki: Wszystko, o czym rozmawialiśmy ma swoje odniesienia w sferze symbolicznej, w sferze języka, w sferze idei, która zawsze była wyrażana nieco inaczej, niż owe pragmatyczno-praktyczne kwestie. Kilka słów na ten temat. Ponieważ jak się wydaje właśnie w sferze symbolicznej kryzys lewicy jest najgłębszy i chyba najtrudniejszy do odrobienia, ponieważ najdłużej trwa. Budowa pewnych pojęć, definicji, by zacząć od rzeczy elementarnych, po pewne konstrukcje myślowe, po konstrukcje ideowe - wymagają lat, a nie miesięcy.

Mirosław Karwat: Z poprzednich wypowiedzi klucz wyróżników formacji rysuje się jasno; mówię o formacji, która chce mieć jakąś rację bytu. Właściwie w trzech punktach mógłbym podsumować, wyciągać wnioski z wypowiedzi

kolegów. Po pierwsze, lewica jest potrzebna jeżeli istnieje potrzeba zmiany. Obiektywnie wiemy, że ona istnieje, natomiast pojawia się kwestia, czy odczuwają ją ludzie. A jeśli ją odczuwają, zwłaszcza ludzie pracy, to czy jest to coś więcej niż odczucie na poziomie intuicyjnym, emocjonalnym, czy też predyspozycja do przemyśleń, do myślenia problemowego – właśnie do tego za chwilę przejdę. A więc: czy jest potrzeba zmiany? Po drugie: czy istnieje alternatywa? Tu znów tę kwestie należy odnieść do świadomości społecznej; gdyby taka potrzeba istniała w postaci koncepcji programowych, które mają charakter wizji całościowej, zoperocjonalizowanych pragmatycznie, a nie sloganów, wskaźników kierunkowych – „wiecie – rozumiecie, trzeba, należy to i tamto”, tylko mówimy: jak. Nawet gdyby tak było, że taka alternatywa programowa istnieje, to czy istnieje poczucie niezbędności alternatywy w świadomości tych, do których chcemy trafić i których chcemy reprezentować. I trzeci czynnik, który przewijał się w naszych wypowiedziach, to jest kwestia nadziei, nie bójmy się tego słowa. Siłą lewicy, siłą ruchu robotniczego w szczególności, zwłaszcza nie tylko radykalnych nurtów i nawet reformistycznych, była nadzieja na to, że zmiana jest możliwa, że możliwy jest lepszy świat, że można stworzyć w ogóle nowy, inny świat niż ten kapitalistyczny bądź, że można go zhumanizować. Ale była to nadzieja. I to jest najbardziej przerażające, jeżeli chodzi o diagnozę stanu dzisiejszego. To nie jest tak, że ludzie stracili takie odczucia tylko, że akurat nie lewica taką ofertę stworzyła. Kto na przykład zaproponował ludziom nadzieję i oczywiście

ją wzbudził? Radio Maryja i PiS. Projekt PiS-u, nie zapominajmy ciągle ma nie tylko procentowo, ale środowisko wielu zwolenników, funkcjonuje przecież bardziej na zasadzie irracjonalnej, na zasadzie nadziei, że to wszystko, co czasem stereotypowo jest odrzucone w postaci i PRL-u i III RP, że to można czymś zastąpić. Otóż lewica, mówimy tutaj oczywiście o tej instytucjonalnej, o tej zoligarchizowanej, to trzeba nazwać po imieniu, pożegnała się z nadzieją, przestawiła się na tory myślenia przystosowawczego - indywidualna psychologia ludzi, którzy się ratują z katastrofy historycznej i życiowej jednocześnie została przeniesiona na sposób myślenia lewicy jako zbiorowości. Znamy ten syndrom dobrze. Trzeba sobie jakoś radzić, każdy sobie radzi jak może, ewentualnie małymi grupkami koleśków, kumotków. W każdym razie ta indywidualna psychologia przystosowania została przeniesiona na sposób funkcjonowania elit postkomunistycznych. W najlepszym razie, jeżeli to nie był czysty indywidualizm, że każdy radzi sobie jak może, to cała wspólnotowość tej lewicy sprowadzała się do kumoterstwa i kolegowości. Oczywiście w tej chwili generalizuję nieco przesadnie, bo aż tak źle nie było, ale w mentalności wielu aktywistów, polityków, tak to wyglądało w gruncie rzeczy. O tym, kto się uratuje, kto się przestawi na nowe tory, a zwłaszcza kto odniesienie sukces zawodowy, materialny, medialny w gruncie rzeczy zaczęły decydować układziki. I nie wiadomo, kiedy to stało się drugą naturą tych kolegów, oni zaczęli w ten sposób też postrzegać życie społeczne. I tu jest jedna ze słabości naszej współczesnej lewicy, o czym już była mowa poniekąd: oddaliśmy

właściwie wszystko. Nie ma materialnej bazy do działalności ideologicznej, programowej, oddano walkowerem szkolnictwo, tzw. politykę historyczną, media, kwestie światopoglądowe. To wszystko nazywając kompromisem, tam gdzie było kapitalizacją, albo nie podejmując walki, bo z góry zakładając, że ma się jakieś poczucie winy, z góry akceptując hasło: wam wolno mniej, to hasło było jak najbardziej zinternalizowane przez odbiorców. Ci którzy czytali o trupie w każdej szafie, brali to do siebie, to była bardzo ciekawa asymetria swoją drogą, że oto Barbara Labuda przystępuje do środowiska, którym się brzydzi, przyjmuje ten chlebek i jednocześnie moralizuje i poucza. Nikt nie widzi w tym niczego gorszącego, natomiast wszyscy oczywiście przepraszają za trupa w szafie. To był rys charakterystyczny psychologii ludzi skopanych, mających poczucie winy, poczucie zawstydzenia, że uwierzyli w jakąś utopię, że popełnili jakieś błędy, może spowodowali jakieś szkody społeczne. Psychologicznie to można zrozumieć, bo właściwie takie uczucia nikomu z nas nie są obce, tylko skrajna konsekwencja w tym wypadku tego postępowania i sposobu myślenia polegała na tym, żeby absolutnie się wycofać. I mamy: język dyskursu publicznego, kompletnie schizofreniczny albo odpowiednio do tego schizofreniczny sposób postępowania przywódców lewicy instytucjonalnej. O czym mówię? Z jednej strony retoryka liberalna i oczywiście język indywidualizmu, i kluczowa kategoria, z którą się utożsamia każdy obywatel, to jest w gruncie rzeczy psychologia konsumenta. Tak się przemawia do przeciętnego Polaka czy obywatela RP innej narodowości w

telewizji, tak się przemawia w prasie, tak się przemawia w kampaniach wyborczych; przemawiamy i zwracamy się do psychologii konsumenta. Psychologia konsumenta ma to do siebie, że jest to psychologia człowieka sterowanego z zewnątrz, że jest to psychologia człowieka myślącego w kategoriach swojej rodziny, budżetu domowego, nie w kategoriach wspólnoty, nie w kategoriach podziału dóbr, nie w kategoriach stosunków makrospołecznych. Szczyt jego myślenia polega na tym, że nie ma dla niego znaczenia narodowość towaru i firmy, która mu to oferuje, natomiast kompletnie nie myśli w kategoriach problemów społecznych i ogólnospołecznych, i tym bardziej nie myśli w kategoriach dylematów. Jedyne dylemat, to czy wziąć kredyt czy nie, czy to kupić teraz, czy to kupić jutro. Kompletnie spłylenie myślenia. I to jest właśnie ten indywidualizm, zresztą bardzo werbalny; poza tym, jak wiadomo, i to badania socjologów i psychologów potwierdzają, poza deklaracją indywidualizm Polacy są w masie swojej konformistami. Stadne myślenie, stadne zachowanie powoduje oczywiście straszliwą niespójność: formalnie indywidualiści, faktycznie - kto? Całkowity brak myślenia wspólnotowego, bo myślenie wspólnotowe to jest myślenie w kategoriach całości i mojego miejsca w nim, myślenie uczestnika. Lewica tradycyjnie przemawiała językiem kolektywistycznym, niekoniecznie totalitarnym jak w stalinizmie, ale myślenie i działanie w kategoriach kolektywnych były wyróżnikiem lewicy, tradycje socjaldemokratyczne również – te o których mówiliśmy, relacje partia – społeczność. I dlatego mimo kryzysu

socjaldemokracja zachodnia może się utrzymać, a my przy własnym kryzysie ideowym, kryzysie tożsamości rozsypujemy się, bo nie ma poczucia wspólnoty poza partią, poza interesami korporacyjnymi, zawodowymi. A więc jeżeli ktoś nie utożsamia się z partią na tej zasadzie, że to partia jest dla niego pracodawcą, czy kimś, kto załatwi miejsce pracy, to właściwie istnienie zostało zgubione zarówno w dyskursie jak i w praktyce. Ale druga słabość, która myślę, że jest akurat do odrobienia, chociaż to wymaga dłuższego czasu, to jest właśnie zgoda na to, aby zupełnie zanikło myślenie; nie mówmy teoretyczne, o tym z z górnej półki, ale myślenie problemowe, refleksyjne. Powszechnie uznano, nawet w kręgach lewicy intelektualnej, że to hasło troszkę z Kautsky'ego, potem z Lenina i wiadomo jak zostały zrealizowane. A więc wnoszenie świadomości teoretycznej do mas jest to hasło bankrut, że to po prostu ma być tożsame ze skompromitowanymi praktykami uświadamiania, ustawiania ludzi, indoktrynacji bezalternatywnej itd., itd. I przez to utożsamienie z konkretną formą degenerowaną zresztą przecież, nastąpiło wylanie dziecka z kąpielą. Natomiast siłą lewicy zawsze było to, że usiłowała wydobyć z człowieka pracy, czy tak, jak to Marks pisał ironicznie: z idiotyzmu życia wiejskiego, z idiotyzmu życia biurowego, z idiotyzmu życia konsumenta właśnie, i uczynić go człowiekiem myślącym, zastanawiającym się. I znów takie wysiłki wbrew pozorom podejmują niektóre media prawicowe. „Dziennik” więcej robi dla pobudzania myślenia, a przy okazji je ustawia, niż środowiska lewicy. Z różnych powodów to wynika oczywiście, z pieniędzy też, ale nie

tylko, to jest kwestia preferencji liderów lewicy. W związku z tym, że szkolnictwo też poszło w wiadomym kierunku, miało być inaczej, a stało się jak zawsze. Mówię o tym, że szkoła jest miejscem wkuwania, przerabiania coraz większej ilości materiału informacyjnego, kartograficznego, pamięciówki, tak są zorientowane programy, tak się je egzekwuje, egzaminy testowe, nie-testowe, wszystko to zmierza w gruncie rzeczy w tę stronę. Ta idiotyczna standaryzacja programów akademickich z uniwersytetu robi kompletną szkółkę, przychodzą do nas maturzyści, którzy nie umieją - już mało - że pisać, ale nie umieją myśleć abstrakcyjnie, a niektórzy w ogóle myśleć nie umieją. Mnie zdarza się coraz częściej, powiedzmy co 20 student nie rozumie pytania, prostego pytania, gdzie znajomość gramatyki pozwala uzmysłwić sobie, czy chodzi o cechę, czy chodzi o wydarzenie, czy chodzi o jakieś działanie. Tymczasem oni tych kategorii w ogóle nie łapią. I to jest produkt współczesnej masowej szkoły; dzieciak może oczywiście wszystko wiedzieć, bo ma Internet, wszelkie możliwe źródła, natomiast ma kompletną kaszę w głowie. To jest zupa, breja. To jest pogłębiane oczywiście przez media, które wiadomo w jakim duchu przedstawiają wydarzenia polityczne, w dodatku wydarzenia, a nie procesy, nie tendencje, nie problemy, a nawet jeśli przedstawiają problemy, to w wiadomej redukcji ostatecznie sprowadzane są do personaliów, do takiej kamerdynerskiej wizji, kto tu kogo pod tym pretekstem pokona. O to nas pytają jako akademików dziennikarze, to jest ich wiadoma tendencja, z tego się żyje. Tylko, że to tworzy takie perpetuum

mobile zbiorowego ogłupienia, bowiem wyrastają ludzie, którzy kompletnie nie zastanawiają się nad tym, czy to, co jest jedynie możliwe, ma jakieś przyczyny. Jeżeli już myślą o przyczynach to od razu je mylą albo utożsamiają ze sprawcami, a więc to jest wspaniała baza dla teorii spiskowych rodem z PiS-u czy ruchów populistycznych. Do tego jeszcze, jeżeli oduczylismy wspólnym wysiłkiem ludzi myślenia w kategoriach potrzeb zbiorowych, to po pierwsze albo nie umieją ich artykułować albo umieją, rzucając śrubami, podpalając kukłę na znak protestu; w odpowiedzi słyszą od mediów, że są populistami, to samo dorzuci oczywiście Włodzimierz Cimoszewicz - nazwie to populizmem, gdy usłyszy, że ktoś nie ma gdzie mieszkać, albo nie ma pracy. A co dopiero mówić o takich kwestiach tradycyjnych dla języka lewicy jak kwestia alienacji pracy, jak powracające zjawiska wyzysku. Trzeba było dopiero skandali z Biedronką i jeszcze paru, żeby do świadomości zbiorowej Polaków dotarło, że komuniści wprawdzie kłamali, ale w kapitalizmie - o dziwo - możliwy jest wyzysk. I teraz „Gazeta Wyborcza” zaczyna występować jako opiekun wyzyskiwanych, w tych samych numerach, w których Balcerowicz podsumowuje swoje osiągnięcia. Co z tego wynika? Czas teraz na myślenie prognostyczne. Otóż ja jestem pesymistą, jeśli chodzi o etap krótki, a optymistą na dłuższą metę. Pesymistą w tym sensie, że bardzo duże straty ponieśliśmy i to niejako z własnej winy, ta dezintegracja i zjadanie własnego ogona ma swoje koszty. Ale z drugiej strony, przysłuchiwałem się naszej dyskusji o proporcje lewicy – prawicy. W gruncie rzeczy to samo, co

mówiliśmy o sobie, możemy powiedzieć, częściowo przynajmniej, o prawicy. Prawica też nie ma programów, ma slogany, frazesy - tylko tyle, że część tej prawicy, ale to raczej ta bardziej czarnosecinnna , Radio Maryja i coś tam bardziej na prawo wytwarza silne więzi emocjonalne, czego myśmy się oduczyli. Paradoks polega na tym, że najbardziej autentyczna instytucja społeczeństwa obywatelskiego w RP to jest Radio Maryja, Rodzina Radia Maryja, spełniająca te wszystkie parametry wspólnoty, identyfikację emocjonalną, poczucie solidarności i współdziałania. Na dłuższą metę lewica jest zdolna powrócić do tego. Jeżeli nauczymy ludzi, że nie są tylko wyborcami, tylko podatnikami cały czas w wymiarze indywidualnym, ale są sąsiadami, że są ludźmi, którzy mogą udzielać sobie społecznej samopomocy itd., to wszystko jest do odzyskania. Jestem również optymistą, jeśli chodzi o odwrót od klerykalizmu. Już dzisiaj mamy symptomy, ta kampania na pograniczu nagonki w sprawie krzyży w szkołach i zachowania młodzieży, wprawdzie jeszcze bardzo rozproszonej, ale statystyki i to nawet statystyki kościelnego instytutu, który bada zasięg formy religijności wskazują, że zgodnie z tym, co dialektyka już dawno podpowiadała, najlepszym lekarstwem na laicyzację jest klerykalizacja, a więc im bardziej trwa ofensywa klerykalna, tym bardziej przyspiesza to proces kontestacji młodzieżowej.